

— W Polsce popularna jest akcja „Sto twarzy Krystyny Jandy”. Są pani audycje w radiu, podczas weekendów występuje pani w teatrach całego kraju. Ile twarzy ma Krystyna Janda?

— Może sto? Koniec stulecia to dostatecznie poważny i piękny pretekst, żeby o tych kobietach, które przypominamy w Radiu Zet, opowiedzieć.

— To duże przedsięwzięcie, a zarazem pani radiowy debiut.

— Rzeczywiście, kiedy wcześniej proszono mnie, żeby poszła coś nagrać do radia — odmawiałam. Konsekwentnie przez dwadzieścia pięć lat.

— Dlaczego?

— Bo uważałam, że radio to nie jest moje medium, że ja bez twarzy nie istnieję. Czasem rejestruję swoje spektakle

włożyła swoją słynną obcisłą suknię, sfotografowała się na okładki wszystkich pism i podpisała: Dietrich — babcia. I chyba mniej więcej zachowuję się tak samo. A poważnie — jest fajnie.

— Gra pani, reżyseruje, pisze, czyta w radiu. Co pani myśli, gdy wieczorem gaśnie światło i jest sama ze sobą?

— Powiedziałam pewnego dnia do męża: cóż mój drogi — żyjesz z komiksem. Co myślę? Staram się zachować resztki zdrowego rozsądku. A poza tym, to wie pan, że nie znam koleżanki, która co roku wyjeżdża na dwa miesiące wakacji z synami. A ja jeżdżę. Od dziesięciu lat. I co roku zimą na narty też.

— Jak się pani to udaje?

— Polega to na jednej prostej rzeczy: to ja planuję swoje

Janda o stu twarzach



i później słyszę tylko swój głos. Okazuje się, że w teatrze ja wszystko mówię „na bialo”. Cała reszta: rytm, pauzy, układ ciała jest ważny, a mój głos — jakby wcale nie grał.

— Od kilku tygodni jest pani stale w trasie. Próby i przedstawienia gra w macierzystym teatrze w Warszawie, a kiedy ludzie odpoczywają, pani we wszystkich chyba weekendy pracuje. Jak pani to znosi?

— Kiedyś koleżanki powiedziały, że Janda robi karierę, dzięki „końskiemu” zdrowiu. Poza tym piszę w Internecie pamiętnik.

— To przyjemność, czy obowiązek?

— Bardzo lubię pisać — sprawia mi to dużą przyjemność. A w Internecie piszę w końcu na moich warunkach. Zdarza się, że nie mam siły i wówczas wystukuję: dzisiaj śpię, nie budźcie mnie i już. Ale okazuje się, że na mojej stronie jest ponad dwieście tysięcy „wejść” i jest to fantastyczne.

— Jak pani częstą nieobecność w domu znoszą pani synowie?

— Niespecjalnie ich to interesuje. Ostatnio zapytano jednego z moich synów: A gdzie mama? Na co on odpowiedział: A kto to wie? Oni nigdy nie byli obsesyjnie uzależnieni od mojej obecności.

— A pani nie brakuje dzieci na co dzień?

— Z synami zawsze jadamy wspólnie śniadanie. Teraz nie siedem, a cztery razy w tygodniu. I tak przez te cztery dni chowają przede mną tornistry, żebym nie obejrzała precyzyjnie zeszytików: życie pisane przez „rz” w piątej klasie to — moim zdaniem — przesada.

— Jak przyjmuje pani rolę babci?

— Marlena Dietrich została babcią w wieku, zdaje się czterdziestu lat. I wtedy natychmiast zawołała wszystkich fotoreporterów i dziennikarzy,

zajęcia. W moim domu jest i ciocia, i matka, i siostra bardzo często, i mąż, i wszyscy mi w życiu pomagają. Nie borykam się sama z domem, praniem, sprzątaniem, gotowaniem, zakupami. Jestem otoczona rodziną i wieloma ludźmi, którzy starają mi się to życie ułatwić. Za co ja im płacę zresztą, ale mam to całkiem niezłe zorganizowane. Jestem takim szefem małego przedsiębiorstwa i jakoś to się kręci.

— Krystyna Janda and company?

— Bez tego byłoby gorzej, szczególnie jak ma się małe dzieci.

— Była pani kiedyś na wywiadówce?

— Byłam.

— I jak było?

— Strasznie mnie zdenerwowały inne matki.

— Czym?

— Potwornie broniły swoich dzieci. Uważały, że ich dziecko jest fantastyczne, a dookoła wszyscy są źli. Byłam tym oburzona, bo nie można tak myśleć. Jestem surowsza. I byłam też na rozgrywkach piłki nożnej klas drugich w Milanówku. Darłam się potwornie i w pewnym momencie krzyknęłam: zdejmijcie mojego Jędrka z boiska, bo przegramy. Grał okropnie.

— Mieszka pani w Milanówku i — nie da się ukryć — czasem musi na ulicy się pokazać. Wytykają panią palcami: o, Janda idzieł, czy traktują jak sąsiadkę?

— Jeżdżę po Milanówku na rowerze. I mieszkańcy myślą mnie ze Stalińską, bo Dorota mieszka w pobliżu. Nie jest źle. Do kiosku na przykład zdarza mi się iść w pidżamie. Kiosk mam po drugiej stronie ulicy i „leczę”, żeby nie tracić czasu. Z całą odpowiedzialnością mogę powiedzieć, że nie pamiętam, kiedy poszłam do sklepu po zakupy umalowana.

Michał LENARCIŃSKI